

W ramach przygotowań do wyjazdu obejrzelismy dwa filmy tajwańskie, polecane nam przez przyjaciół (Izoldo, Grażyno - dziękujemy!). Pierwszy to wczesne dzieło Anga Lee (tego od *Rozważnej i romantycznej*, *Brokeback Mountain* i "latających Chińczyków" z *Przyczajonego tygrysa...*) pt. *Eat Drink Man Woman*, co polski dystrybutor przetłumaczył jako *Jedz i pij, mężczyźno i kobieto*, podczas gdy w treści filmu okazuje się, że to cytat z jakiejś konfucjańskiej księgi wyliczający najprostsze ludzkie potrzeby. Film opowiada historię mistrza kuchni chińskiej i jego trzech córek wygrywając wszelkie możliwe smaczki międzypokoleniowe - każda z córek jest na swój sposób nietypowa, ale w sumie wychodzi na to, że ludziom do szczęścia wystarczy pełny talerz i ktoś do pary.

Drugi film (*Turn Left, Turn Right*) stanowi "ekranizację" wiersza Wisławy Szymborskiej "*Miłość od pierwszego wejrzenia*" o dwójce sympatycznych oryginałów (skrzypek i tłumaczka), którzy zakochują się w sobie, ale potem gubią w wielkim mieście (choć mieszkają przez ścianę w sąsiednich klatkach tego samego bloku). Niestety w Polsce chyba nikt tego filmu nie zauważył, choć bohaterka dzielnie próbuje deklamować wiersz w oryginale, ponieważ zgodnie ze scenariuszem ma biegle władać polskim. W ogóle z obu filmów wynika, że w Tajpej głównie pada deszcz, chyba niezależnie od pory roku - a jak nie pada, to ziemia się trzęsie.

Jest jeszcze trzeci film, którego na razie nie obejrzelismy, mimo zachęającego tytułu (*Wojownicy tęczy*). Dzieło (dwie części, ponad dwie godziny każda) traktować ma o walce tajwańskich aborygenów z japońskim okupantem w latach 30 ubiegłego wieku. Duży budżet, epicki rozmach przypominający *Braveheart* czy *Ostatniego Mohikanina* - przynajmniej zdaniem tajwańskich recenzentów. Liczne naturalistyczne sceny dekapitacji. Niespecjalnie gustujemy w nurcie partyzanckim kina światowego, poza tym niedostępne w internecie poza oryginalną wersją językową.

Ale wracając do Taipei - faktycznie pada. Trudno ukryć rozczarowanie, zwłaszcza że źródła zgodnie twierdzą, że 'zima w Taipei jest sucha' (być może zresztą jest, bo przecież nie wiemy, jak pada w innych porach roku). Rozczarowanie jest w sumie niewielkie, bo to taki deszcz o przeważnie niewielkim stopniu uciążliwości - ale jednak ciągle.

Stołeczność Taipei (obecnie, razem z aglomeracją, ponad siedem milionów mieszkańców, a więc mieszka tam co trzeci tajwańczyk) jest stosunkowo świeżej daty - stolicą prowincji zostało tuż przed przejściem Tajwanu przez Japończyków.

Główną atrakcją turystyczną Taipei jest pochodzący z ostatniego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia kompleks budynków mieszczący się przy Placu Wolności (dawniej Placu Pamięci Czang-Kai-Szeka). Centralne miejsce placu zajmuje mauzoleum Czang-Kaj-Szeka, ukończone w roku 1980, w piątą rocznicę śmierci przywódcy. Do

białego budynku z niebieskim oktagonalnym dachem prowadzi 89 stopni symbolizujących wiek prezydenta w momencie śmierci. Dolne piętro zajmuje muzeum z różnymi artefaktami związanymi z Czang-Kaj-Szekiem, głównie uwagę zwracają dwa lincolny, ubrania, oraz odtworzone wnętrze gabinetu. Na ścianach sporo (powiększonych) zdjęć w towarzystwie światowych przywódców (jest nawet Churchill) i eleganckiej, wykształconej w USA czwartej żony. Sam Czang Kaj-Szek był bardzo przystojny, choć niewysoki, i prezentował się prawie jak cesarz, a już z pewnością lepiej niż Mao. Wyżej, na piętrze, stoi, a w zasadzie siedzi, dużych rozmiarów pomnik prezydenta. Przy pomniku warta honorowa, zmieniana ceremonialnie co godzinę. Ceremonia z interesującą choreografią. Należy zaznaczyć, że termin mauzoleum nie jest w tym przypadku precyzyjny: w odróżnieniu od mauzoleum Lenina, Ho-Szi-Mina, czy Atatürka budynek nie zawiera truchła, czy nawet symbolicznego grobowca.

Na plac prowadzą trzy bramy, środkowa z nich zwie się po angielsku *Gate of Great Centrality and Perfect Uprightness* (czego zupełnie nie podejmujemy się przetłumaczyć na polski). Po bokach centralnej alei znajdują się bliźniacze budynki teatru i sali koncertowej. Sam plac wykorzystywany jest do wszelkich okazji oficjalnych (akademie ku czci, powitania i pożegnania dostojnych gości zagranicznych) i kulturalnych (koncerty, pokazy, parady).

Następnym punktem programu obowiązkowego jest Taipei 101, czyli ósmy (obecnie, bo gdy go budowano to był pierwszy) najwyższy budynek świata. Nazwa nawiązuje do początkowych cyfr kodu pocztowego, ale pochodzi od ilości pięter wieżowca. Na 89 - najwyższe dostępne dla publiczności - piętro dojeżdża się w kilkanaście sekund windą - która wciąż chyba jest najszybszą na świecie. Z góry można sobie zobaczyć panoramę Taipei, która zapewne zapiera dech w piersi, gdy tylko cokolwiek widać. W zamierzeniach architektów budynek miał przypominać łodygę bambusa - nam bardziej kojarzył się z pudełkami z chińskim jedzeniem ustawionymi jedno na drugim. W podziemiach faktycznie znajdują się bardzo dobre restauracje oraz centrum handlowe.

Po lunchu, w ramach dostarczania sobie stawy duchowej, pojechaliśmy do świątyni Konfucjusza. Konfucjanizm jest w zasadzie bardziej systemem filozoficznym niż religią, o bardzo humanistycznym rdzeniu, odwołującym się do poczucia ładu, społecznej harmonii i życia rodzinnego, nie poszukującym źródła wartości i postaw w świecie pozaziemskim. Akcentuje się rolę tradycji, obyczaju, i kultu przodków, z niechęcią patrzy się na konflikty zbrojne. Gdy katolicyzm zaczął spotykać się z konfucjanizmem, nie bardzo wiedział, jak się do niego odnieść. Pierwsi misjonarze uważali konfucjanizm za niesprzeczny z naukami Chrystusa, a jego 'cywilne rytuały' za niekolidujące z obrządkami religijnymi. Później jednak, w XVIII wieku, rozpoznano

w Konfucjuszu i jego naśladowcach wrogów, a Benedykt XIV ogłosił encyklikę uznającą konfucjanizm za dzieło Szatana.

Świątynia Konfucjusza w Taipei to 'nówka sztuka', odbudowana po wojnie (Japończycy mniej lub bardziej intensywnie walczyli z konfucjanizmem na Tajwanie, proponując miejscowym buddyzm lub szintoizm). Jak wszystkie inne, wzorowana jest na świątyni z QuFu, miejsca urodzin Konfucjusza. Tradycyjnie brama do świątyni umieszczona jest boczenie w stosunku do głównej osi budynku - ma to ilustrować tezę, że nauki mistrza są nieprzeniknione dla obserwatorów z zewnątrz i zachęcać do ich głębszego poznania. Co roku, 28 września, w urodziny mistrza, na terenie świątyni odbywają się rytuały ku czci, a na całym Tajwanie dzień ten obchodzony jest jako święto nauczyciela (nie tylko tego jednego, przez duże N, ale ogólnie wszystkich nauczycieli - mają wtedy dzień wolny od pracy).

Przez ulicę z Konfucjuszem sąsiaduje świątynia Baoan, którą trudno przypisać do którejś z głównych religii (chyba najbliżej do taoizmu). Głównym świętym czy też bogiem - w każdym bądź razie postacią czczoną w świątyni - jest XI wieczny cesarz Wu Baosheng, który dokonywał różnych cudów medycznych, głównie z obszaru medycyny weterynaryjnej (a to zakropił oczy smoku, a to wyciągnął kość z gardła tygrysowi), ale leczeniem ludzi też nie gardził. Był wegetarianinem, stronił od kobiet, a gdy zmarł w dostojnym wieku 58 lat (co raz jeszcze dowodzi, że lekarze nie są szczególnie długowieczni), żurawie zabrały go do niebios.

Drugim wyniesionym na ołtarze świątyni Baoan jest Shengnong, mityczny cesarz chiński z czasów prehistorycznych, który miał dać swojemu ludowi umiejętność uprawy roli, parzenia herbaty oraz wielu innych praktycznych czynności. Przyczyną, dla której czci się go w Taipei, była wielka susza sto lat temu, którą przetrwały tylko modły i ofiary składane Shengnongowi. Od tamtej pory, zdaje się, pada bez przerwy.

Pomniejsze bóstwa czczone w świątyni to Generał Czarny Tygrys (ten uleczony przez Wu Baoshenga, który z wdzięczności służył mu potem talentami wojskowymi) oraz bliżej (nam) nieznani 'Niebiańscy Urzędnicy' (w liczbie 36). W świątyni pali się kadzidełka, składa ofiary z owoców i ciasteczek oraz pali się pliki kartek, które mają imitować prawdziwe pieniądze, przy czym są różne kartki-banknoty: te dla bogów, te dla przodków (w zasadzie to prawie to samo) oraz te dla złego (żeby sobie poszło).

W pobliżu naszego hotelu, a w bezpośrednim sąsiedztwie nocnego rynku ('night market'), znajduje się świątynia Ciyou dedykowana bogini Mazu, opiekunce rybaków i marynarzy. Mazu miała żyć w X wieku i być szamanką, zasłużoną w ratowaniu topielców. Już jako noworodek czyniła cuda, a mianowicie - w odróżnieniu od innych infantów - nie darła ryja. W wieku lat czterech opanowała tajemnice buddyzmu, jako dziesięciolatka uzyskała zdolność jasnowidzenia, gdy osiągnęła

wiek lat trzynastu potrafiła się teleportować. Zdumiewająco szybka kariera. Nic dziwnego, że w 27 urodziny uznała swoją misję za zakończoną i umarła, a w zasadzie wniebowstąpiła.

Gdy już zadbaliśmy wszechstronnie i ekumenicznie o ducha, doszliśmy do wniosku, że trzeba znów skupić się na ciele i jego potrzebach. W zasięgu nieledwie dwudziestominutowej podróży metrem z centrum Taipei znajdują się gorące źródła Beitou. W przewodniku opisywane są jako *Thermal Valley*, więc spodziewaliśmy się ustronnej, parującej dolinki w lesie - w rzeczywistości dolinka mieści się pomiędzy rzędami wysokich hoteli oferujących prywatne kąpiele za spore pieniądze (po zdjęciach sądząc, w czymś w rodzaju łazienek). Zamiast tego zdecydowaliśmy się na namaczanie w publicznym kąpielisku na świeżym powietrzu. Dość tłoczne, ale ciekawe - w bonusie był instruktaż używania klucza od szafki (na gumce) do wiązania włosów i ktoś, kto regularnie pogwizdywał na gwizdku. W końcu nie udało nam się ustalić, czy po to, żeby wyganiać z wody zbyt długo się kąpiących, czy wręcz przeciwnie - gonić do gorącej wody tych, którzy tylko moczyli nogi (z jakiegoś powodu było to zabronione).

Wody termalne są siarkowe, zawierają też niewielkie ilości radu, nie udało się nam dociec jakie konkretnie choroby leczą, ale wyszliśmy z założenia, że zdrowie to i zdrowemu nie zaszkodzi. Kulturę kąpieliskową na Tajwanie zaprowadzili Japończycy, oni też zbudowali pierwsze kąpieliska na Beitou, a w latach wojny urządzili tu sanatoria dla oficerów. Uzdrowską historię Beitou dokumentuje miejscowe muzeum, którego nie zdążyliśmy, z powodu nadciągającego zmroku, zwiedzić.

W dolinie, w pobliżu muzeum znajduje się 'rezydencja' Zhang Xuelianga, jednego z generałów wojen toczonych przez Chiny z Japonią w latach 20 i 30-tych ubiegłego wieku. Zhang zasłynął jako architekt (nieotrwałego) porozumienia Kuomintangu z komunistami, do którego doprowadził w grudniu 1936 roku aresztując Czang-Kaj-Szeka (i przetrzymując go przez dwa tygodnie zanim nie skruszał). Azjaci znani są powszechnie z nieżywienia urazów, i dlatego Czang, gdy tylko odzyskał wolność, sam aresztował Zhanga i trzymał go w areszcie przez następnych czterdzieści lat (przewożąc go w międzyczasie na Tajwan), dopóki nie umarł. Po śmierci Czang-Kaj-Szeka, Zhang odzyskał wolność i dożył do stu lat, umierając na Hawajach w 2001 roku. W Chinach Ludowych bohater, na Tajwanie wciąż postać kontrowersyjna.

Tak zakończyliśmy niedzielę. W poniedziałek rano pojechaliśmy 30 kilometrów na północ od Taipei, na przylądek Yehliu, który znany jest z magicznie wyglądających struktur geologicznych, do powstania których przyczyniła się erozja. Skały przypominają głównie grzyby, choć w jednej z nich tubylcy dopatrują się (pod

odpowiednim kątem) profilu królowej Elżbiety II. Niestety, podczas naszego pobytu do (nasilającego się) deszczu dołączył porywisty wiatr, więc wycieczka skończyła się szybkim powrotem do hotelu celem przebrania i osuszenia.

Ponieważ kategorycznie nie byliśmy w nastroju do dalszych przygód terenowych, na popołudnie przestawiliśmy (z wtorku) wizytę w Muzeum Narodowym. Zdaniem wielu znawców, jest to najlepsza kolekcja sztuki chińskiej na świecie, nie wyłączając Chin kontynentalnych. Czang Kaj-Szek uciekając zgubił może (wedle słów piosenki) spodnie¹, ale zabrał ze sobą tyle skarbów z cesarskiego pałacu, że zbudowane w latach 1960-tych muzeum nie jest w stanie ich wszystkich wyeksponować, ratując się rotacją eksponatów i tematycznymi wystawami czasowymi. Swoją drogą, przy okazji wizyty można zadumać się nad różnicami w rozumieniu pojęcia sztuka na Wschodzie i na Zachodzie. Z naszej perspektywy muzeum prezentuje piękne - ale jednak - rzemiosło: bibeloty z kamieni półszlachetnych (głównie z jadeitu), naczynia z brązu, ceramikę, wyroby z emalii, meble, kaligrafię i "malarstwo", które dla Europejczyka jest raczej rysunkiem. Brakuje tego, co w naszym świecie jest kwintesencją sztuki - czyli arcydzieł uznanych mistrzów (tu większość dzieł jest anonimowa, co najwyżej datowana dynastią), reprezentujących klasyczną rzeźbę i

¹ Tytułowe "spodnie Czang-Kaj-Szeka" pochodzą z, jak wynika z reakcji Czytelników, powszechnie nieznanej pieśni dziadowskiej, której całości nie podejmujemy się odtworzyć, ale szła ona mniej więcej tak:

Niedaleko od Krakowa, oj!

Tam, gdzie góra jest zamkowa, oj! (*ja znałam* "tam gdzie huta stoi nowa" - *przyp. D.*)

Stoi kościół murowany, oj!

W tym kościele drzwi i ściany, o jo jo joj!

Same dzwony tam dzwoniły, oj!

Gdy dziad ciągnął z całej siły, oj!

Same drzwi się otwierały, oj!

Gdy się baby mocno pchały, o jo jo joj! (*ja znam odwrotnie - najpierw drzwi, a potem dzwony*)

Stał się cud pewnego razu, oj!

Dziad przemówił do obrazu, oj!

A obraz doń ani słowa, oj!

Taka była ich rozmowa, o jo jo joj!

Jest tam skrzynia w miedzi kuta, oj!

A w tej skrzyni ząb mamuta, oj!

Wielka być bestia musiała, oj!

Skoro takie zęby miała, o jo jo joj!

Są tam spodnie Czang-Kaj-Szeka, oj!

Co je zgubił, gdy uciekał, oj!

My te spodnie znaleźliśmy, oj!

Do muzeum przynieśliśmy, o jo jo joj! (*jak pierwszy raz poznałam tę piosenkę, nie miałam bladego pojęcia, kim był Czang-Kaj-Szek*)

malarstwo sztalugowe. [*Tutaj mieliśmy dłuższą dyskusję, czy taki Cellini, na przykład, to rzemieślnik, czy artysta. Protokoły uzgodnień do wglądu.*]

Pewne pojęcie o różnicach kulturowych dają trzy największe chluby muzeum - fetowane jako ostateczne arcydzieła, do których ustawiają się kolejki widzów spragnionych uwiecznienia ich na swoich ajfonach. Pierwszy to *Mao Gong Ding* - brązowy kociołek z X wieku p.n.e. (odkopany w wieku XIX), który był podarunkiem od cesarza dla jednego z generałów (prywatnie cesarskiego wuja). Największy zachwyty budzi umieszczona wewnątrz naczynia inskrypcja. Stare, zacne, ale nawet i w tym muzeum podobnych kociołków jest więcej (choć bez inskrypcji).

Drugi cud to jadeitowa kapusta. Nieduża (wielkości dłoni) rzeźba wykonana w XIX wieku z naturalnego biało-zielonego kamienia, przedstawiająca ni mniej, ni więcej tylko główkę kapusty pekińskiej (uważny obserwator znajdzie na niej ukrytego pasikonika). Prawdopodobnie rzeźba była prezentem od cesarza dla jednej z żon, lub częścią jej posagu. Ładna ciekawostka - ale żeby uznawać za największe arcydzieło muzeum? Ogólnie uwagę Chińczyków do jadeitu tłumaczy się tym, że jest to kamień twardy i bardzo trudny w obróbce, poza tym przypisuje mu się pewne znaczenia religijne.

Trzecie dzieło to (uwaga) nieduży kawałek jaspisu przypominający... gotowaną wieprzowinę. Owszem, powierzchnia kamienia przypomina skórę od bekonu, a jego naturalne warstwy są podobne do mięska i tłuszczu. Całość umieszczona jest na ozdobnej podstawie. Chińczycy szaleją. Podejrzewam, że gdyby nam coś takiego wpadło w ręce, to położylibyśmy to na kominku i pokazywali gościom dla śmiechu - i nawet by nam do głowy nie przyszło oddawać do muzeum.

Wtorek to dalszy ciąg zwiedzania trochę dalszych okolic Taipei. Mieliśmy już zacząć gromadzenie drewna do budowy arki (miejscowi utrzymują, że to najzimniejszy i najbardziej mokry luty od czterdziestu lat), gdy akurat przestało padać, co wykorzystaliśmy na podziwianie okoliczności przyrody w parku narodowym Yangmingshan. Akurat zaczynają kwitnąć wiśnie (których kwiaty, w odróżnieniu od japońskich, mają znacznie ciemniejszy odcień różu), azalie, i różna wiosenna drobnica przygruntowa. Dawniej po wioskach uprawiano tarasowo ryż, teraz jego miejsce zajęły różne inne rośliny, na przykład cantedeskie albo liliowce - ale uprawiane w celach kulinarnych (kuchnia tajwańska używa nierozwiniętych kwiatów).

Park obejmuje góryste okolice na północ od miasta i jest ulubionym miejscem weekendowych wypadów dla jego mieszkańców. Jest to też 'okolica o pożądanym kodzie pocztowym' - blisko miasta, ale i przyrody. Główną atrakcją architektoniczną parku jest budynek Zgromadzenia Narodowego (Chung-Shan), wzniesiony w 1966, dla uczczenia stulecia urodzin Sun-Jat-Sena. Budynek figuruje na studolarowym

(chodzi o dolary tajwańskie) banknocie i z zewnątrz wygląda naprawdę ładnie, choć “w realu” okazuje się, że okolica obfituje w siarkowe źródła, więc cały pałac spowija dość piekielny fetorek. Wnętrza można zwiedzać wyłącznie w grupach - dołączono nas do kilkunastoosobowej gromady azjatyckich turystów z miejscową przewodniczką po chińsku. Zaraz sobie przypomniałem, dlaczego od 20 lat unikamy turystyki grupowej - po godzinie człowiek jest wypompowany wiecznym czekaniem na spóźnialskich, a perorująca po chińsku przewodniczka-ochotniczka potwierdzała niestety wszelkie stereotypy na temat nadgorliwości ochotników.

Z tego, co się jednak dowiedzieliśmy, wynika że budynek wzniesiono pod miastem, bo w pobliżu Czang-Kaj-Szek miał swoją rezydencję, a przede wszystkim miejsce to miało bardzo dobre feng shui. Pani architekt musiała poradzić sobie z budową na terenie sejsmicznym, bliskość siarkowych źródeł uznano jednak za korzystną dla zdrowia (choć ograniczającą dobór materiałów budowlanych, bo te opary są dość agresywne dla metali). Ponieważ na kontynencie trwała właśnie rewolucja kulturalna (nazwa myląca, bo żadna rewolucja nie jest kulturalna) polegająca głównie na niszczeniu wszystkiego co tradycyjne i historyczne, Czang-Kaj-Szek zdecydował, że - dla kontrastu - Zgromadzenie Narodowe będzie mieścić się w budynku stylizowanym na tradycyjny pałac. Nie szczędzono na dekoracjach i wyposażeniu - chociaż po 50 latach gmach trochę się sypie (w wielu salach stały wiadra zbierające wodę przeciekającą z sufitów). Entuzjastyczna przewodniczka i tak twierdziła, że (cytat): “Nie jest prawdą, że dach przeciekał, szczególnie, że prawie nie padało”.

Ponieważ główną i jedyną funkcją Zgromadzenia Narodowego było cykliczne wybieranie Czang-Kaj-Szeka na prezydenta, po śmierci jego syna (który też był prezydentem) zmieniono system polityczny wprowadzając bezpośrednie wybory powszechne, zreformowano parlament i przeniesiono go do miasta. Budynek utracił swoją pierwotną rolę, obecnie bywa wynajmowany na różne konferencje i bankiety.

Popołudniem zjechaliśmy do miasteczka Jiufen, które ma opinię najbardziej malowniczego na całej wyspie (coś jak Kazimierz nad Wisłą dla warszawiaków). Do powstania tej legendy przyczyniły się dwa filmy. Pierwszy z nich to *Miasto smutku* (*A City of Sadness*) z 1989 roku przedstawiający losy miejscowej rodziny w czasach “białego terroru” po wyjściu Japończyków, a nadejściu Kuomintangu. Film dostał Złotego Lwa w Wenecji i spopularyzował Jiufen wśród Tajwańczyków. Obraz jest dość trudny w odbiorze dla nie-Tajwańczyka, bo wymaga dobrej znajomości historii wyspy; poza tym przy angielskich napisach umykają niektóre niuanse (na przykład scena rozmowy Tajwańczyka z Chińczykiem “kontynentalnym” i Japończykiem, która wymaga trójstronnego tłumacza).

Jednak prawdziwy, międzynarodowy boom turystyczny nastąpił pod wpływem sukcesu animowanego filmu *Spirited Away* (2001) słynnego japońskiego twórcy

anime Hayao Miyazakiego. Obraz, będący poetycką opowieścią o dorastaniu, przedstawia historię dziewczynki przeniesionej do "krainy bogów", która wygląda jak Juifen (choć sam reżyser twierdzi, że o Juifen nic nie wiedział i podobieństwo jest przypadkowe). Ważnym aspektem filmu jest jedzenie (łakomi rodzice głównej bohaterki za karę zostają przemienieni w świnie - co sami potraktowaliśmy jako groźne memento).

Juifen faktycznie jest urocze, a chłodna pogoda być może ograniczyła najazd turystów, który zapewne w cieplejszych porach roku może skutecznie obrzydzić chodzenie po wąskich i stromych uliczkach starówki. Lokalną ciekawostką są tunele - pozostałość po dawnych kopalniach złota oraz pochodzący z lat 30-tych XX wieku odremontowany budynek kina. Największą atrakcją są jednak herbaciarnie, sklepiki i jadłodajnie - do których jeszcze wrócimy w odcinku kulinarnym.

Tajwańscy Chińczycy poczuwają się do jednej z dwóch tożsamości: Hoklo lub Hakka. Termin Hakka jest dość trudny do zdefiniowania, bo nie oznacza tak naprawdę grupy etnicznej. Na przestrzeni wieków ludność Chin północnych i środkowych migrowała na południe, już to dobrowolnie, już to pod przymusem, wskutek wojen, głodu, zarządzeń władców. Potomków tych migrantów określa się właśnie słowem Hakka. Przez wieki wytworzyli swoją własną wersję chińskiego i nie zatracili poczucia odrębności kulturowej. W Polsce te procesy poszły chyba innymi torami: powojennym przesiedleńcom zza Buga pełna integracja zabrała 2-3 pokolenia (i żaden wrocławiak już nie zaciąga lwowskim bałakiem, chyba że dla żartu), dzieci współczesnych "śloików" są już warszawiakami czy poznaniakami pełną gębą.

Hoklo natomiast to Chińczycy z południa, najczęściej pobliskiej prowincji Fujian. W czasie walk z Coingxą, cesarz rozkazał wysiedlić w głąb Chin całą populację wybrzeża. Po podboju wyspy ludzie wrócili na brzeg, ale część z nich wyemigrowała jeszcze dalej, przez morze, nie tylko na Tajwan (i w inne miejsca Azji Południowo-Wschodniej). My jednych od drugich nie odróżniamy, ale oni od siebie - jak najbardziej.

Innym jeszcze podziałem, który na Tajwanie ma coraz mniejsze, obecnie już tylko historyczne znaczenie, to podział na tych, co trafili tutaj razem z wycofującym się Kuomintangiem (*waishengren*) i tych, co byli tutaj wcześniej (*benshengren*). Do lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia ten podział był konserwowany poprzez odpowiednią, dziedziczną rubrykę w dowodach tożsamości. Oprócz tego są tutaj (głównie w górach) aborygeni (autochtoni) - nieledwie 2% ludności; tych już się nie tępi jak w dawnych czasach, nie toleruje ze źle ukrywaną niechęcią (jak w czasach całkiem jeszcze niedawnych), tylko intensywnie eksploatuje turystycznie. Czego

właśnie świadkami niechybnie zostaniemy, bo jutro skoro świt wyjeżdżamy z Taipei na południe, o czym, jeśli tylko chcecie czytać, niezawodnie napiszemy.